

Księga czwarta  
*1503-1512*

---

## Decyzja

Do Krakowa wjeżdżał Mikołaj w poczuciu zwycięstwa. Obrął celowo trasę podróży przez Wiedeń, by po ostatecznym powrocie z Italii porozmawiać jeszcze raz z Maciejem Szylingiem o przyszłości. Wydawało mu się, że wszystkie drogi stoją przed nim otworem, że ludzie na całym świecie oczekują go z rozwartymi ramionami. Był oto już pewien, że budowa wszechświata jest heliocentryczna, tyle że nie wszystkie jeszcze na to zebrał dowody. W nabyciu pewności pomogły mu lektury ostatnich miesięcy. Uwolniony po uzyskaniu doktoratu od studiów prawniczych, kończąc już tylko medycynę, znajdował więcej niż poprzednio czasu na czytanie. Jeszcze raz powrócił do dzieła Jerzego Valli, jeszcze raz przemyślał sobie poglądy Filolaosa i Hicetasa, przywołał wskazania Wojciecha z Brudzewa. Zaglądał do znanych już sobie pism Pliniusza, do tekstów Arystarcha z Samos. Do tej pory nie miał żadnej wątpliwości co do tego jedynie, że Ziemia i Saturn krążą wokół Słońca. Teraz wiedział już na pewno także i to, że nie ma dwóch ośrodków ruchu, lecz jeden. Wyjaśniło się ostatecznie niezrozumiałe dotychczas zjawisko umieszczania się Wenus i Merkurego raz ponad Słońcem, a raz pod nim. To przecież jasne — i te planety krążą wokół niego, lecz w cyklu innym niż roczny.

Gdy teraz w upalny dzień lipcowy wjeżdżali ze Stachem do Krakowa, a słońce paliło tak, że trudno było gołym okiem zobaczyć jego tarczę na niebie, przypominały mu się jeszcze raz słowa Pliniusza, które znał na pamięć: „W pośrodku planet unosi się Słońce, ogromnej wielkości, potężne: rządcą nie tylko

czasów, nie tylko Ziemi, lecz także całej rzeszy gwiazd, nieba. W nim to godzi się upatrywać duszę całego świata... ono to używa światła także pozostałym gwiazdom: wspaniałe, majestatyczne, wszystko widzące, wszystko słyszące...”

Tyle ludzi czytało te słowa, a nikt ich nie zrozumiał należycie, biorąc zapewne za poetycką metaforę.

Zatrzymali się ze Stachem w tej samej gospodzie, w której przed dwoma laty stanął Andrzej. I natychmiast, pozostawiwszy podróżne toboły pod pieczęą gospodarza, ruszyli na ulicę Grodzką.

Zastali w domu Macieja i Annę. Stary przyjaciel powitał Mikołaja gorącym uśmiechem i wylewnym słowem, a dowiedziawszy się, kim jest Stach, przyjął go równie serdecznie. Anna natomiast zarumieniła się na ich widok i dygnawszy grzecznie z rezerwą trzymała się na boku. Pozostała już taka cicha przez cały czas, aż do wieczora.

Rozmowa potoczyła się na sam początek wokół wyników dwuletniego pobytu Kopernika w Italii:

— No więc przede wszystkim jestem magistrem sztuk wyzwolonych, otrzymałwszy dyplom w Bolonii na uniwersytecie artystów. Ale to dawniejszy dorobek. Teraz uzyskałem w Ferrarze doktorat prawa kanonicznego, a w Padwie licencjat medyczny — mówił Mikołaj.

— Dojrzałeś więc już do studiowania teologii, kanoniku — zażartował Maciej.

— Dojrzałem! — zawołał Mikołaj. — Lecz niech mnie Pan Bóg broni przed tym, bym go obrażał swym nieteologicznym umysłem. Wolę już chwalić go wiedzą o doskonałości urządzonego przezeń świata.

— Mikołaj jest jednak przede wszystkim matematykiem i astronomem — wtrącił nieśmiało Stach. — Jako takiego zna go cały uczonej świat Italii.

— Nie tylko Italii, moi drodzy. — Szyling podniósł w górę palec, jak gdyby chciał wyrokować o czymś bardzo ważnym.

— W Krakowie marzą o tym, by przystał jako profesor naszej akademii. A słyszałem, że i Niemcy szeroko rozprawiają o jego teoriach. Tuszę jednak, że mój przyjaciel ani do Norymbergi, ani do Rzymu nie pójdzie, jeno w Krakowie zostanie.

Kopernik spojrział jednak uważnie w jego oczy i uporcezywie starał się coś z nich wyczytać, mówiąc: — A czemużby nie we Fromborku, który mnie żywi?

Maciej powiódł ręką po pomarszczonym czole, pogładził siwe włosy.

— Są na pewno kanonicy, którzy swoim katedrom, biskupom i kapitułom winni służyć bezpośrednio, codzienną swą pracą. Są jednak i tacy, co z kapituły czerpiąc, całej Polsce służą, a niekiedy i światu. Znamy przecież dobrze licznych takich, co mają kanonii i probostw więcej niż pięć, siedząc w Krakowie, jeżdżąc po świecie i parafii czy kapituł swoich wcale na oczy nie oglądając. Toż i ty, Mikołaju, masz już drugie źródło dochodów we Wrocławiu i cóż czynisz jako tamtejszy scholastyk? Jeżeli profesorem u nas będziesz, łącznie i króla ulubieńcem zostaniesz i prymasa, a wtedy dalsze prebendy posypią się same, a nikt kościelnej służby nie będzie od ciebie wymagał.

Zafrasował się młody doktor. To były właśnie te sprawy, które go w ostatnich czasach nurtowały. Nadeszła chwila decyzji. Powiedział:

— Pozostanę w Krakowie przez jakiś tydzień, pochodzę po mieście, pogadam z ludźmi i zobaczę, co przedsięwzmem. Nie chciałbym swemu dobrodziejowi, biskupowi Warmii, zawodu sprawić. Oczekuje, że jego lekarzem i doradcą prawnym zostanę. Po to mnie prebendami nadziewał.

— Imć Szyling ma jednak rację — ozwał się Stach. — A dla czegoż to niby twój brat nie mógłby pełnić tych powinności przy jego przewielebności?

Mikołaj ręką jeno machnął, co nie tylko obaj mężczyźni zrozumieli, lecz i Anna, przed którą słuchy o wesołym życiu

Andrzeja nie uchowały się. Spłonila się teraz na jego przypomnienie.

— Grzechem jest to twoje machnięcie ręką — powiedział Maciej. — Nie zabijaj człowieka utratą nadziei weń.

— Nie tracę — zachnął się Kopernik. — Myślę jeszcze i o tej możliwości, że mógłbym wycofać się z Warmii po śmierci wuja, który oby jednak żył jak najdłużej.

Szyling uderzył pięścią w stół.

— Teraz to ja gotów jestem machnąć ręką na ciebie i wierząc mi, nie zgrzeszyłbym. Jak już pójdziesz na Warmię, to nie wydestaniesz się z niej. Ratuć się przeto zawczasu. Przed tobą kariera naukowa i światowa sława. Nie po to dwanaście lat studiowałeś, by teraz starcom podawać mikstury, kury paść i trwonić czas na przesiadywanie w stallach. Nie daj się namówić do przyjęcia wyższych święceń kapłańskich, byś zupełnie drogi powrotu do świata za sobą nie zamknął i nie skazał się w dodatku na wysłuchiwanie w konfesjonale, co dziewczki i parobczaki wyprawiają, gdy ich dorośli nie widzą.

— Ojcze! — krzyknęła Anna.

Zerwała się z miejsca i wyszła szybkim krokiem z komnaty. Zapanowała chwila ciszy. Mikołaj podniósł się i powoli wyszedł za nią. Stała w sieni, jak gdyby nań czekała. Uspokoił ją łatwo.

W następne dni chodziła z Mikołajem na spacer. W tym czasie Stach bywał w mieście, zabiegał jako doktor prawa o jakiś urząd w kancelarii królewskiej albo w kurii biskupiej. Szyling mu w tym pomagał, polecając go swym znajomym na Wawelu.

Na spacerach Mikołaj i Anna opowiadali sobie o przeżyciach ostatnich dwóch lat. Dziewczyna była nad wiek poważna, przy czym ujmowała Mikołaja dziewczęcą wrażliwością, a zarazem dojrzałą myślą. Rozmówiona w poezji, czytywała łacińskie poematy, a nawet sama pisała, lecz nie chciała pokazać swych utworów. Ciekawa była szerokiego świata. Opowiadał jej więc

o Norymberdze i Wiedniu, najwięcej jednak o Italii. Ona zaś relacjonowała mu wydarzenia krakowskie i pokazywała, co zmieniło się w stolicy. Jeden jedyny raz wstąpili do kościoła Mariackiego, by obejrzeć ołtarz Wita Stwosza. Lecz ujrawszy kobiecą postać, której prototypem była Marta, Mikołaj postanowił więcej tam nie wracać.

Na uniwersytet i na spotkania ze znajomymi chodził Mikołaj ze Stachem, bez Anny. Pierwszym znajomym, którego spotkali, był Marcin Biem. Wyglądał poważnie, jakby zestarzał się bardziej, niż to z jego wieku wypadało, bo od Mikołaja był niewiele starszy.

Skończył właśnie wykład na uniwersytecie i wychodził do miasta. Poszli razem uliczkami dookoła rynku, weszli wreszcie do winiarni i zamówili dzban wina.

— Profesor z ciebie, jak się patrzy — ze szczerym podziwem powiedział Mikołaj. Najlepiej wiedział, że brzmi w jego wypowiedzi i nuta zazdrości. — Słyszę, że już od trzech lat jesteś członkiem Kolegium Większego, zapewne i dochody ci się poprawiły.

Biem skrzywił się, jak po kwaśnym jabłku.

— Bo to nie wiesz, jakim kosztem mogą poprawić się dochody?

— Domyślam się. Pewnie ci się zanosi teologiem zostać.

— Zgadłeś. Na matematyce doczekałbym się głodowej śmierci. Z astronomią musiałem rozbrat wziąć, ale mam nadzieję, że dla samego siebie będę mógł się nią jeszcze zajmować. Myślę, że za dwa, trzy lata teologią się zajmę, do której najdalsza droga, która jednak jedyna jaki taki chleb człowiekowi dać może. A ty?

Mikołaj zasepił się po monologu starego przyjaciela. Podniósł kubek, wezwał do wypicia.

— Ja? — ozwał się jak echo. — Właściwie trochę podobnie jak ty.

— Nie! — zawołał Biem. — Przecie...

— Jestem doktorem praw.

— Nie!

— I lekarzem.

— Nie! — powtarzał tamten. — To być nie może! Słysząc przecież o twoich astronomicznych teoriach. W samym Rzymie, w stolicy świata wykłady miałeś o gwiazdach i planetach przed dwoma laty.

Stach uśmiechnął się tylko znacząco. Kopernik milczał przez chwilę, wreszcie rzekł:

— To wszystko prawda. Ale przede wszystkim kapituły i wuja biskupa muszę słuchać. Kanonikiem przecie jestem.

— Więc zostań w Krakowie, tu postarają się o to, byś miejsca w kapitule nie stracił, profesorem będąc. I do teologii łąco zajdziesz.

Stale ta sama pieśń — pomyślał Mikołaj.

— Tak też przemyślałem — powiedział głośno. — Akurat chciałem u ciebie zasięgnąć rady.

Biem roześmiał się szeroko, radośnie. Podniósł kubek.

— Twoje zdrowie! Więc zostajesz!

Mikołaj wypił, następnie powiedział gorzko: — Oczywiście nie.

— Jak to?

— Dałeś mi taką właśnie radę już w pierwszych słowach.

Marcin wytrzeszczył oczy na znak, że niczego nie rozumie, Mikołaj spoglądał smętnie na siedzących przy sąsiednim stole studentów i wyobraził sobie, jakby to było, gdyby każdego dnia musiał ich oświecać.

— Miałby Mikołaj w Krakowie astronomii się wyrzec i teologią się parać? — wyjaśnił Stach.

— Taki nasz los — ze smutkiem powiedział Biem. — Uczonemu gorzej niż chłopu pańszczyźnianemu. A może tedy lekarzem byś został? Medycy astrologią zawsze się zajmują, a dukaty na jednym i drugim zbijają. Choćby Miechowita na ten przykład.

Zdaje się, że coś on tam knuje, co by dla ciebie dobre być mogło.

Spotkali się z Maciejem Miechowitą następnego popołudnia w tej samej winiarni w rynku. Był to człowiek już starszy, studia w Krakowie odbywał w czasie, gdy Mikołaj dopiero się rodził. Kształcił się potem w Italii, nie ominąwszy Padwy. Był teraz sławnym lekarzem i na leczeniu możnych zbił majątek. Zamówił u gospodarza winiarni pełne michy pieczystego, chleba bochen i spory dzban wina. Zanosilo się na dłuższe posiedzenie.

Miechowita od razu zainteresował się nowościami medycznymi Italii. Ale okazało się wkrótce, że jest doskonale z nimi obeznany, przeczytał już wszystkie najnowsze książki, wiedział, co się dzieje w Padwie, nie omieszkał odprawić pielgrzymki do Rzymu w Roku Jubileuszowym, prowadził korespondencję z italskimi uczonymi.

Gdy trochę podjedli i popili, rozmowa ożywiła się; przeskakując z tematu na temat przeszli wreszcie na kwestie gwiazdziarskie. W tej dziedzinie każde słowo Mikołaja znajdowało chętny posłuch zarówno u Marcina, jak i u Macieja. Ale po jakimś czasie Biem sprowadził rozmowę na temat wczorajszy — najbliższe plany Mikołaja. Rozpoczęły się od nowa namowy do pozostania w stolicy, popierane toastami i stukaniem kubków. Miechowita miał gotową propozycję:

— Zakupiłem u rady miejskiej krakowskiej za czterysta złotych węgierskich czynsz roczny piętnastu grzywien i przeznaczyłem go na uposażenie przyszłego profesora. To moja najnowsza fundacja. Umyśliłem sobie, że ten profesor wykladałby trzy razy tygodniowo, a nadto pełniłby funkcję lekarza miejskiego. Co ty na to, młody człowieku?

— Nie! Nie chcę! — Mikołaj śmiał się głośno. — Nie będę wykładał medycyny i nie chcę być lekarzem miejskim. Co innego leczyć wuja, ale udzielać urzędowo bezpłatnej pomocy lekarskiej każdemu, kto się tylko zgłosi?

— Toż to szlachetnie — szepnął Stach zgorzony.



— Szlachetniej jeszcze, gdy się to czyni z własnej nieprzymuszonej chęci, a nie z urzędu. Bądźcie pewni, że gdy zamieszkać we Fromborku, chętniej pójdę z poradą po własnej woli do chłopca, niż z obowiązku do kanonika.

Zapanowało milczenie. Wypili znowu po kubku, wzięli się po niejakiem przerwie do jedzenia. Miechowita stał się ponury, gryzła go zapewne myśl o tym, że wzgardzono jego wspaniałomyślną fundacją. Wreszcie, jakby przebudził się ze snu, wyrzekł niecierpliwym już nieco głosem:

— Przeniosę więc fundację na wydział filozoficzny i przeznaczę ją na nauki astronomiczno-matematyczne. Zwiększę kapitał o dwieście złotych węgierskich i podniosę pobory profesora do dwudziestu grzywien.

Mikołaj uśmiechnął się już tylko beztrósko. Czuł wino w głowie i było mu tak wesoło, że sprawy przyszłości zobojętniały mu zupełnie. Radował się beczynnością po ciężkich latach studiów. W odpowiedzi na nagabywania Macieja podnosił tylko kubek i zachęcał przyjaciół do opróżniania naczyń. Rozmowa wreszcie na dobre zeszyła na astronomię.

Rozstawali się na rynku, nad którym skrzyło się czyste, pogodne niebo. Zmówili się na następny wieczór do dostrzegalni, jaką miał Marcin Biem. Spotykali się potem w niej przez kilka wieczorów, aż do dnia wyjazdu Mikołaja ze stolicy.

Ostatni, pożegnalny wieczór spędził Mikołaj u Szylingów. Stach wyprowadził się już przez ten czas z gospody, znalazł bowiem zatrudnienie na Wawelu jako kancelista. Mikołaj też tego dnia z gospody się wyniósł, zostawił w niej jedynie większe toboły podróżne, a z osobistymi drobiazgami poszedł na Grodzką, by pozostać tam już i na noc.

Anna ze służebną zgotowały wystawną wieczerzę. Izba pachniała kwiatami, widokiem swym przypominając bardziej ołtarz w wiejskim kościele niż wnętrze mieszczańskiego domu. Paliło się dużo świec woskowych, ozdobnie rzeźbionych. Nastrój był

wyjątkowo uroczysty. Maciej wyglądał młodziej niż zwykle, jego córka siedziała rozpromieniona, śmielsza niż w dni poprzednie i weselsza, choć jej radość zmacona była przewidywaniem roztania.

Rozmawiali o czynionych u Biema pomiarach, o obliczeniach, datach zaćmień i koniunkcji. Było słychać, że astrologowie snują w związku z koniunkcjami straszne przepowiednie. Spodziewano się przewrotu religijnego.

Długo Maciej Szyling skrywał w sobie najważniejsze pytanie, które wypowiedział dopiero w chwili, gdy jego córka miała wyjść z komnaty, by ułożyć się do snu.

— No i jakżeż z twoją przyszłością, Mikołaju? Wyjeżdżaszli na krótki jeno czas, czy na stałe?

Anna, która powstała już od stołu, zatrzymała się teraz i z widocznym na twarzyćce napięciem wpatrywała się w oblicze przyjaciela. Ten opuścił wzrok i, jakby mu brakowało sił na odpowiedź wręcz, mówił:

— Swego czasu obliczyłem szerokość geograficzną Fromborka. Teraz z Biemem i Miechowitą ustaliliśmy jeszcze raz dane o szerokości geograficznej Krakowa. Wiesz, do czego doszedłem?

Maciej spowaźniał. Na jego czole pojawiły się zmarszczki, wzrok mu przygasł. Widać było, że myśli z wysiłkiem.

— Domyślam się — odpowiedział. — Kraków i Frombork leżą na tym samym południku. Obliczenia czynione w każdym z tych miast zgadzają się z sobą, możesz tam korzystać z tutejszych obserwacji bez żadnych przeróbek.

— Mikołaju — szepnęła Anna.

Maciej Szyling podniósł się.

— Pozwól, że odprowadzę dziecko do izdebki, całuję ją tam zawsze na dobranoc, choć już taka duża, ale chodzi nam o to, by czynić tak samo, jak to było we zwyczaju za życia Marty.

Mikołaj zerwał się z miejsca, podszedł do Anny patrzącej nań z niepokojem w oczach. Położył dłonie na jej barkach.

— Biskup warmiński często śle posły do stolicy, a i sam przybywa do niej raz po raz, zabierając z sobą i świętę swą, i ludzi zaufanych. Zobaczymy się może już wkrótce. Będę was za każdym razem odwiedzał. A i ty, Anno, wybierz się kiedy razem z ojcem do Torunia lub Gdańska, a stamtąd zboczcie do Lidzbarka i Fromborka. Będę też do was pisywał. Napisz i ty do mnie, kochana.

Ostatnie słowo wzruszyło dziewczynę tak, że pochyliła główkę i wsparła ją o pierś przyjaciela. Objął Annę i uściskał.

A potem poszła już z Maciejem. Mikołaj został sam. Podeszedł do jednego z wielkich, mosiężnych świeczników i zaczął zdmuchiwać świece, jedną po drugiej. I czuł, jak z ubytkiem każdego płomienia gaśnie coś w nim. A im ciemniej robiło się, tym bardziej paliły go oczy. A gdy na szczycie świecznika pozostał ostatni płomyk — samotny, chwiejący się rozpaczliwie — podniósł dłoń do oczu i otarł łzy.

---

## Czas służby

Obiad był w Lidzbarku ceremoniałem dość sztywnym i nudnym. Porę posiłku zapowiadał dzwonek, na którego znak wszyscy schodzili się i w krążgankach oczekiwali nadejścia władcy. Biskup Łukasz Waczenrode zjawiał się w rokocie i pasterskim kapeluszu. Przy wejściu do refektarza wszyscy ustawiali się według dworskiej hierarchii. Służba podawała każdemu miednicę z wodą do umycia rąk i ręcznik.

Pan zamku siadał na podwyższeniu przy głównym stole — zawsze zamyślony, zawsze milczący, nieczuły nawet na rozpaczliwie wysiłki błazna. Tylko bystre oczy biegały niespokojnie pod nawisłymi, krzaczastymi brwiami. Obok niego — dostoyny wikariusz generalny Baltazar Sztokfisz, wyřęczający biskupa na co dzieñ w zarządzaniu diecezją. Potem najwyższy sędzia, kapelan Paweł Deusterwald i wreszcie Mikołaj. Siedzieli jeszcze przy tym samym stole kanonicy, opaci, rycerze zakonni, dowódcy wojskowi, burmistrz — w miarę tego, jak który akurat gościł w stolicy.

Przy drugim stole, zwanym stołem konwentu, zasiadali niżsi rangą, przy dalszych trzech — najniżsi, kończąc na stangrecie biskupa, stajennych, wartownikach wieżowych i żołnierzach. I jeszcze dalsze trzy stoły pozostawały puste. Tam po obiedzie spożywali posiłek ci, którzy posługiwali teraz przy głównej ceremonii biesiadnej. Osobny zaś stół przeznaczony był dla zapraszanych na polecenie biskupa żebraków i nędzarzy.

Mikołaja raziła ta cała drabina ważności ludzkiej, zarazem nudził go obrządek. Po latach pobytu w Krakowie, licznych

podróżach po świecie, Lidzbark i Frombork przedstawiały mu się inaczej niż niegdyś. Zamek wydawał się pomimo swej wielkości ciasny, ponury, a życie w nim odczuwał Kopernik jako margines tego, co działo się w Europie.

Majestat lidzbarskiego zamku był surowy, jakby wycisnęły na nim swe piętno wiatry północnych mórz. Lecz znowuż barwą rudziejących cegieł przypominał dzikie, granitowe ostępy gór, od których leżał tak daleko. Kwadratowy blok zwalistych murów opływały ramiona rzek Łyny i Symsarny, tworząc coś w rodzaju wyspy na stawie, na której ludzka ręka zbudowała sobie siedzibę. Również miasteczko od wschodu i południa bronione było przez rzekę. Dalej zaś, na wzgórzach pofałdowanej okolicy, ciemniały lasy, nęcące zawsze Mikołaja swą tajemniczością. Próbował wracać raz po raz do nich dla odprężenia, wspominając dawne wycieczki z Andrzejem, lecz czasu zawsze miał mało i ledwie na skraju lasu się znalazł, trzeba było już wracać. Tęsknoty tedy sycił patrzyeniem na dęby i buki, porastające najbliższe wzgórze.

Z czterech wieżyczek, umieszczonych w rogach niedostępnej siedziby biskupiej, najbardziej interesowała Kopernika najwyższa i najstarsza zarazem, prawie sprzed dwóch wieków pochodząca wieża północno-wschodnia, na której najwyższą kondygnację wchodził niekiedy wieczorami, by obserwować niebo.

Centralnym punktem zamkowego życia był wewnętrzny dziedziniec — niewielki, ciasny, obwiedziony na dole i na górze krużgankami. Dolny krużganek podierały granitowe słupy, zwieńczone szerokimi arkadami. Piętro natomiast zdobiły lekkie, ośmiograniaste kolumny. Olbrzymi refektarz położony był w skrzydle wschodnim, południowe zaś mieściło kaplicę i bibliotekę. Wysokie sklepienia sal i komnat związane były promieniami gwiazdźście łączących się żebrowań. Na dolnym piętrze mieszkała służba, tam też położone były pomieszczenia gospodarcze, z których nie zawsze najmiłsze dochodziły wonie.

— Przyjdź za parę pacierzy do biblioteki — ułyszał Mikołaj szept.

Zobaczył surową twarz wuja, jednakże w oczach jego wyczytał cieplejszy odcień. Przeczuwał jedną z dwóch możliwości: albo ten stary człowiek ma mu coś radosnego do zakomunikowania, albo potrzebuje jego wsparcia. Wbrew ogólnemu mniemaniu jego autokratyzm miał źródła raczej w samotności, wynikającej z niezależności myślenia, niż w sile woli, choć i tej mu nie brakowało. Ten rzekomy mocarz potrzebował jednak pomocy duchowej, której nie miał skąd czerpać.

Czerpał ją czasem od Mikołaja. Czyż nie dlatego zatrzymał go przy sobie, w Lidzbarku? Czyż nie pozorem była chęć korzystania z pomocy w codziennej pracy i z porad lekarskich siostrzeńca? Czyż nie potrzebował przede wszystkim człowieka? Człowieka po prostu życzliwego?

Zapewne taka była istotna przyczyna osadzenia Mikołaja w Lidzbarku. Władca chciał zatrzymać przy sobie kogoś, komu mógłby ufać bezgranicznie. Zbyt wielu miał wrogów, zbyt surowo oceniali jego politykę kanonicy fromborscy, których część wciąż jeszcze w obawie przed Krzyżakami gotowa była do ugód z nimi.

Mikołaj i dawniej wiedział coś niecoś o tajnikach kariery swego wuja i o jego polityce. Jednak dopiero teraz zrozumiał wszystko do końca.

Łukasz Waczenrode — podobnie zresztą jak i jego poprzednik na stolcu, Mikołaj Tungen — został obrany biskupem wbrew woli królewskiej. Od zawartego w roku 1466 drugiego pokoju toruńskiego Korona daremnie zabiegała o swe wpływy na obsadzenie stolca warmińskiego. Nie pomógł w niczym akt piotrkowski z 1479 roku. Mikołaj Tungen zmarł 14 lutego 1489. Łukasz Waczenrode bawił właśnie w Rzymie na dworze papieskim. Wtedy kapituła warmińska, chcąc uniknąć interwencji króla polskiego, z gorączkowym pośpiechem przeprowadziła

wybór Waczenrodego. W pięć dni po śmierci Tungena wręczono akt wyboru kanonikom Andrzejowi Kleczowi i Baltazarowi Sztokfiszowi, by ci zawieźli go papieżowi.

Awantura była niesłychana. Kazimierz Jagiellończyk zamierzał na stolicy warmińskiej osadzić swego najmłodszego syna, Fryderyka. Zamiar ten stanowił ważne ogniwo w szerokich planach scalenia Pomorza z Polską. Lecz mimo licznych zabiegów na Warmii i w Rzymie królowi nie udało się zmienić decyzji kapituły. Nic dziwnego, że Kazimierz nigdy nie uznał Waczenrodego i na zawsze pozostał mu wrogi.

Nie zraziło to nowego biskupa, choć bolało go mocno. Ostatecznie to on był pierwszym, który dążył szczerze do zacieśnienia więzów między Warmią a Koroną. To on był autorem koncepcji przeniesienia zakonu krzyżackiego na Podole. To jego Krzyżacy nazywali diabłem wcielonym, to on zraził sobie część kanoników i jego właśnie — za próby prowadzenia z Krzyżakami polityki pokojowej — pomawiano o dwulicowość, a nawet o zdradę.

Dopiero Jan Olbracht przywrócił Waczenrodego do łask królewskich. Pan Warmii stał się jednym z pierwszych senatorów, błyszczał jako przewodniczący stanów pruskich. Pozostał ulubieńcem dworu i wtedy, gdy na tron wstąpił Aleksander. Był mu życzliwy i nowo obrany Zygmunt — dotychczasowy książę głogowski i opawski, którego koronacja właśnie się zbliżała. Mikołaj domyślał się, że wuj będzie chciał rozmawiać o sprawach z nią związanych. Albo zapragnie zabrać go z sobą, albo zostawi mu na czas swej nieobecności specjalne poruczenia.

Wuj siedział w wielkiej bibliotece sam, zagłębiany w lekturze. Nie podnosząc się z fotela, wskazał Mikołajowi miejsce obok siebie. Następnie bez chwili zwłoki i bez słowa objaśnienia wręczył mu arkusz papieru, opatrzony ogromną pieczęcią.

Na pierwszy rzut oka Mikołaj wiedział, że pismo pochodzi z kancelarii królewskiej. Przeczytał je z ogromnym zainteresowaniem i dumą. Ostatecznie to o brata jego matki chodziło.

Zygmunt w słowach pełnych łaskawości i względów zapraszał Łukasza Waczenrodego na swą koronację.

Mikołaj położył pismo na stole i pytającym wzrokiem spojrzął na biskupa. Ten odwzajemnił mu spojrzenie i zaczął mówić:

— Już dobre trzy lata służysz mi tu w Lidzbarku. Jestem z ciebie rad. Towarzyszyłeś mi w wielu rozmowach i układach, w najważniejszych podróżach, które zazwyczaj połączone były z różnymi przykrościami, bo sprawowanie rządów zawsze jest trudne. Nie wiem, czy przyjmiesz moją propozycję z takimi samymi uczuciami, z jakimi ja ci ją składam, ale chciałbym bardzo, by tak było. Składam ci ją bowiem z serdecznej życzliwości. Chciałbym sprawić ci radość i okazać wdzięczność za wierną służbę.

— To ja zawsze winienem wdzięczność wujowi — wtrącił Mikołaj. — Zawdzięczam wujowi wszystko, co w swym życiu osiągnąłem. Ale pojedę chętnie i przyjmę ten wyjazd jako nagrodę.

— Dokąd? Jaki wyjazd? — zdumiał się wuj Łukasz. — Jeszcze ci niczego nie powiedział.

— Przepraszam — szepnął Mikołaj.

— No i nie powiem niczego — westchnął biskup. Rozłożył bezradnie ręce, lecz po chwili uśmiechnął się z zadumą. — Nie powiem niczego, bo wszystko wiesz naprzód. Więc cieszysz się?

— Cieszę się ogromnie.

— Koronację toś już widział. I wiem, że cię nie nęcą ceremonie. Ale na pewno z radością odwiedzisz krakowskich przyjaciół.

— Tak, drogi, czcigodny wuju — odpowiedział po prostu, czuł bowiem w tej chwili szczerą, czułą przyjaźń do tego człowieka.

— No to idź, wracaj do swych zajęć.

I na tym właściwie skończyła się rozmowa. Biskup złożył królewskie pismo i nie puszczać go z ręki powrócił do czytania księgi. Mikołaj pożegnał wuja z należnym szacunkiem, sądząc,



że nie powinien dłużej pozostawać w bibliotece i wyszedłszy na krużganek postanowił wejść do wysokiej wieży strażniczej. Miał tam prowizoryczne obserwatorium, które w ostatnim czasie zaczął gruntowniejsze urządzać.

Otwarte okno na szczycie wieży przyniosło mu ulgę. Owionęło go zimne powietrze. Spojrzał na czerniącą się puszcę i na ostatnie płatki śniegu, bielące się jeszcze po zimie na polach.

Późno przychodziła na Warmię wiosna, później niż w innych stronach Polski; krótkie było lato, zima trwała nieskończenie długo. Gdy w Krakowie dobrze już grzało słońce — tu szedł jeszcze ziąb od lasów i jezior, skutych lodami.

To prawda, zasłużył sobie na wyjazd do Krakowa, gdzie znowu zobaczy Macieja i Annę. Jeździł z wujem na liczne narady i zjazdy. Towarzyszył biskupowi warmińskiemu z Torunia do Elbląga, w jego podróży z królem Aleksandrem, gdzie najjaśniejszy pan rozsądził kilka spraw i wydał wyroki. Stamtąd pojechał do Gdańska, potem do Malborka, gdzie w obecności króla odbył się zjazd stanów.

W tymże Malborku, na innym, wrześnieowym zjeździe zetknął się Mikołaj z Dantyszkiem, z którym później los związać go miał na przyjaźń i nieprzyjaźń. W tymże czasie spotkał się też ze swym dawnym mistrzem i przyjacielem, Wawrzyńcem Korwinem, który ożeniwszy się z miłości, przeniósł się do Wrocławia na posadę pisarza miejskiego.

Ale to były krótkie chwile radości. Treścią całego życia stała się polityka warmińskiego władcy i choć Mikołaja interesowała ona o wiele mniej niż niebo, to pilnie i chętnie jej się poświęcał. Okazał się wdzięcznym wychowankiem i wiernym poddanym: wykonywał wszystkie polecenia wuja.

Miał teraz pojechać do Krakowa i to wzmogło w nim ochotę do życia.

Spojrzał z wieży na dachy miasta i zaraz w następnej chwili szybko jął się pracy przy urządzeniu dostrzegalni gwiazd.

I wtedy poczuł ogromną samotność, w jakiej właściwie żył od czasu powrotu z Italii. Był na pewno nie mniej samotny niż wuj Łukasz. I pomyślał, że nie odczuwałby może tego tak bardzo, gdyby przystąpił do pracy w warmińskiej szkole katedralnej założonej przez Waczenrodego. Namawiali go od dłuższego czasu niektórzy kanonicy.

Gdy tak rozmyślał — usłyszał pod sobą rytmiczne stukanie, jakby ktoś szedł po schodach na górę w ciężkich butach. Wkrótce ukazała się w otworze podłogi ciemna czupryna biskupiego strażnika.

— A cóż tu ciebie niesie? Upatrzyłem sobie to miejsce dla siebie i nie oddam strażom.

Strażnik stał już przed nim i otrzepywał ręce z pyłu. Wyprostował się służbiście i jakby meldował:

— Wiem to, wasza wielbność. Wasza wielbność jest w prawie tu gospodarzyć i strażnikom nic do tego. Co innego mnie tu sprowadza i wyłożę to, jeżeli wasza wielbność zezwoli.

— A cóż to takiego? — pytał Kopernik zaciekawiony.

— Ośmielałbym się zapytać wielbnego pana, czy pozwoliłby mi pomagać mu w robocie. Wiem ci ja, że urzędnicy na wieżycze mądrym celom służyć mają, których chłopski rozum nie pojmie, lecz wymagają one, jak się domyślam, także zwykłej pracy rąk. Wielbny pan dałby przeto jeno swój rozum, a ręce przyłożyłbym ja swoje, bo pańskich na to szkoda. Jestem chłop samotny i po służbie mam sporo czasu. Czy może na zbytnią śmiałość pozwoliłem sobie?

Kopernik był wzruszony tą uczynnością. Uśmiechnął się więc zyczliwie, dotknął przyjaźnie jego ramienia i rzekł:

— Zuch jesteś, taki jak ty może się rzeczywiście u mnie przydać.

— Dziękuję przewielebnemu panu za łaskę.

— Jak się nazywasz?

— Wołają mnie Wojtek, a nazywam się Cebulski, wielbny

panie — odpowiedział zapytany, prężąc się w wojskowej postawie.

— Więc powiem ci coś, Wojciechu. Możesz mi pomagać w czasie wolnym od służby. A jak nam dobrze pójdzie, to może cię zatrzymam przy sobie na stałe? Chciałbyś?

— Byłbym szczęśliwy, wasza wielbność.

---

## Czas twórczości

W komnacie było ciepło. Sroga zima tegoroczna wyła wichrem za oknami, przysypując świat śniegiem, zbijającym się miejscami w zasy. Strach było myśleć o zbliżającej się kilkumiesięcznej podróży na sejm do Piotrkowa.

Przyciąwszy knot świecy, której płomień nierówno chybołał, Kopernik jeszcze raz zaczął czytać „Wiersz Wawrzyńca Korwina, pisarza królewskiego miasta Wrocławia, w którym żegna Prusaków i opisuje, jak wielką mu przyjemność sprawiły następujące listy Teofilakta i jak dla wygnańca z rodzinnej ziemi słodki jest powrót do ojczyzny”.

Podniósł wzrok na świecę i uśmiechnął się. Kochany Wawrzyńcie! Żył tylko miłością. Otrzymał świetną posadę w Toruniu, ale jego żona Anna tęskniła za rodzinnym Śląskiem. Na wieść więc o śmierci pierwszego pisarza miejskiego we Wrocławiu pociągnęła go do ukochanego miasta. Za jej tęsknotą poszedł i za kochany mąż. Miłość... Anna...

A tamta Anna w Krakowie miała ukończyć wkrótce osiemnaście lat, była już dorosła.

Sejm w Piotrkowie odbędzie się w kwietniu, na początek maja zatem planował Mikołaj spędzenie kilkunastu dni w domu Macieja. Otrzymał od wuja zgodę na przedłużenie podróży z Piotrkowa do Krakowa, celem oddania do druku u Jana Hallera tłumaczenia „Teofilakta Symokatty listów obyczajowych, sielskich i miłosnych w przekładzie łaćnińskim”. Wawrzyńcie zgodził się napisać do nich przedmowę.

Skąd mu się wziął sentyment do tych listów? Wiedział, że nie

tylko z nabożeństwa do języka greckiego, który okazał się taki przydatny przy studiach astronomicznych, a w szczególności przy porządkowaniu nazw miesięcy w astronomicznej literaturze. Były te listy w gruncie rzeczy obrazem jego samotniczego życia, pomimo stałego niemal przebywania między ludźmi, pomimo licznych podróży.

Minęły dawno czasy wielkich przyjaźni: z Wodką, ze Stachem, z Wapowskimi, Szylingami, Novarą. Teraz ludzie przemykali obok niego, stosunki z nimi ograniczały się do kontaktów oficjalnych. Przyjaciele ukazywali się w czasie podróży i znikali jak meteory.

To właśnie samotność sprawiła, że rozsmakował się w listach starożytnego poety greckiego. Było w nich sporo sentencji, które mógł do własnego życia odnieść: „Magnes, jak mówią, kocha się w żelazie i podają, że dopóty żyje, dopóki jest złączony z umiłowanym”. „Lepiej znosić zło odległe, niż w domu żywić ukrytego wroga”. „Jeśli chcesz opanować smutek, idź na groby: tam znajdziesz lekarstwo od żądz i zobaczysz, jak największe ludzkie szczęścia w całej swej pysze znaczą mniej niż proch”.\*

Płomień świecy znów zaczął się chybotać. Nie było wątpliwości, że zaraz zgaśnie, bo w lichtarzu zostały już tylko roztopione szczątki wosku.

Zapanowała ciemność. Przez okno wdzierał się mrok, raz po raz tylko zamigotał słaby blask dalekiej pochodni.

Nagle zapukano do drzwi. Mikołaj ocknął się. Powiedział:

— Proszę wejść!

Drzwi skrzyknęły, zatoczyły półkole i po chwili ktoś wysoki stanął na środku komnaty.

— Dobry wieczór, Mikołaju! Cóż porabiasz?

To był aksamitny, życzliwy głos Tidemana Gizjusza.

— Dobry wieczór. Ot, czytam sobie.

Tamten zaśmiał się.

— Czytasz? Po ciemku?

Mikołaj westchnął z ulgą, ten głos i ten śmiech przynosiły ratunek od samotności, która zaczęła mu ciążyć. Dotknął ręki Gizjusza, wskazał mu krzesło. Powiedział usprawiedliwiając się:

— Świeca zgasła w tej chwili.

Gizjusz zajął wskazane miejsce. Przebywał w Lidzbarku od paru tygodni, miał już wrócić do Fromborka, ale zaspły wstrzymały go. Znali się obaj już parę lat, zaprzyjaźnili się jednak dopiero w ciągu ostatnich tygodni.

— Co czytasz?

— Jak by ci to powiedzieć... Słyszałeś o listach Teofilakta Symokatty, które przełożyłem z greckiego na łacinę.

— Pamiętam, przeczytałeś mi nawet niektóre z rękopisu. Podobno chcesz je zabrać z sobą do Piotrkowa, a stamtąd do stolicy, by oddać do wydrukowania?

— Właśnie. Otóż nie powiedziałem ci jeszcze, że mój przyjaciel z czasów krakowskich studiów, świetny poeta Wawrzyniec Korwin, napisał przedmowę do nich, ja zaś akurat wczoraj zakończyłem układanie listu dedykacyjnego.

— Komu zadedykowałeś te pisma?

— Oczywiście, biskupowi Warmii.

— Oczywiście? Dla mnie nie jest wcale rzeczą taką oczywistą ofiarowywać biskupowi listy miłosne...

— Wuj je zna — zapewnił Mikołaj. — I oświadczył, że nie znajduje religijnych przeszkód w rozpowszechnianiu ich.

— A, to co innego. Jak widać, nasz pan jest jeszcze bardziej wyrozumiały, niż mniemałem. Nie miałem jednakże dotychczas okazji usłyszeć jego sądu o tego rodzaju utworach. Tym bardziej interesuje mnie twoja dedykacja.

Mikołaj podniósł się, podszedł do półki, na której leżały świece, sięgnął po jedną i opuściwszy na chwilę komnatę, powrócił do niej ze światłem.

Lichtarz ze świecami postawił na dębowym stole, przewertował leżące na nim rękopisma i wydobył dwie kartki.

Zaczął głośno czytać: „Do Przewielebnego Pana Łukasza, Biskupa Warmińskiego, Mikołaj Kopernik. Wybornie, jak mi się zdaje, Przewielebny Panie i Ojczy naszemu ojczyzny, ów Teofilakt Scholastyk ułożył swoje listy obyczajowe, sielskie i miłosne. Biorąc zapewne pod uwagę, że nic tak nie bawi jak różnaitość, skoro różne umysły w różnych rzeczach znajdują rozrywkę — jednych mianowicie nęci to, co lekkie, jeszcze innych trzeźwe słowo, a niektórych wręcz bajka, i każdy swoim się cieszy — tak pomieszzał lekkość z powagą, swawolę z surowością, że czytelnik może w nich wybierać niby w ogródku z różnaitości kwiecia, to, co mu się najbardziej podoba. A w tym wszystkim zawarł tyle pożytku, że już nie listy w nich widzimy, ale raczej prawidła i przepisy kształtujące życie ludzkie, czego jawnym dowodem jest ich zwięzłość, bo z różnych autorów wybrał to, co najzwięzlejsze i co najbardziej płodne. Obyczajowe i sielskie niełatwo wzbudzą w kimś wątpliwości, miłosne zaś, mimo że z tytułu wyglądają na swawolne, tak są jeszcze trzymane na uwężi, że i one zasługiwałyby na miano obyczajowych: podobnie lekarze gorycz leków łagodzą słodyczą. Wobec tego osądziłem za niesłuszne, by tylko Grecy mogli je czytać, gdy u łacinników nie są szerzej znane, i usiłowałem wedle możności przełożyć je na język łaciński. Tobie zaś, Przewielebny Panie, poświęcam ten skromny podarek, nie mogący się równać z Twoimi dobrodziejstwami: wszak każdy tego rodzaju trud lub owoc moich maluczkich zdolności słusznie uchodzić winien za Twoją własność, jeżeli to prawda — o czym nie wątpię — co niegdys Owidiusz powiedział do Cezara Germanika: Siła twórcza pod twoim wejrzaniem trwa i upada”.\*

— No, no, toś wujowi srogo nakadził — powiedział Gizjusz, gdy czytanie dobiegło końca. — Ale staruszek zasłużył sobie na to. On to dopiero politykę warmińską wyprowadził na proste drogi wspólnej polityki z Koroną Polską. A i ty też niemało mu zawdzięczasz. Ucieszy się nasz ojciec, gdy zobaczy to dziełko wydane drukiem.

Po pierwszej żartobliwej uwadze Mikołaj nasrożył się, lecz następne zdania uspokoiły go, a nawet wzruszyły. Cieszył się, że Gizjusz podziela podziw dla biskupa Łukasza. Cieszył się i z tego, że zawarte w dedykacji wyrazy wdzięczności spodobały się słuchaczowi.

Z kolei gość, otrzymawszy do ręki rękopis Wawrzyńca, zaczął czytać przedmowę do listów. Raz po raz jednak przerywał lekturę, wybuchając śmiechem. Bo oto poeta głosił wzniosłe pożegnanie Prus i w szczególności Torunia, z którego uchodził za swą ukochaną Anną. „Śród miast pruskich Toruniu znaczny, z dobrymi wróżbami trzykroć, czterekroć chcę cię pożegnać, o miasto”. Potem słał Łukasza Waczenrodego. „Rodzisz mężów wspańiałych, a pośród nich jest dostojny Łukasz pasterz i zwierzchnik, co z pobożności nam słylnie”. Dopiero zachwyty nad Kopernikiem następowały, „który Księżycy ruch szybki, Słońca bratniego, gwiazd drogi śledzi i opisuje ich biegi w niebios ogromie”. I jeszcze podróż z Torunia na Śląsk przez całą Polskę opisał i Annę swoją opiewał, o Symokacie zupełnie zapominając.

— A niech go licho! — wołał Gizjusz ubawiony poematem, wzruszającym co prawda serca, lecz odbiegającym od tematu.

Mikołaj z pewnym zgorszeniem słuchał tych opinii, bo w poprzednim czytaniu utwór wydał mu się poetyczny i wzniosły. Ale krytyczne wtręty gościa sprawiły, że razem z nim zaczął oczekiwać, kiedy poeta wreszcie do rzeczy przystąpi i o listach Teofilakta coś powie. Ten jednak wzdychał do Boga, aby „pozwoił jeszcze przez długich lat okres ten dom rodzinny z drogą małżonką zachować”. Chodziło oczywiście o Annę Korwinową i o dom we Wrocławiu.

Aż dopiero na końcu zakochany poeta trzy zdania o greckich listach ni stąd ni zowąd dopisał.

— A niech go licho! — powtarzał Gizjusz i śmiał się serdecznie wzbudzając równie serdeczny śmiech Mikołaja, który teraz dopiero dostrzegł oryginalność Korwinowego dzieła.



Gdy jednak zapytał Gizjusza, czy by miał z przedmowy Korwina zrezygnować, ten stanowczo sprzeciwił się takiej myśli i popierał w całej rozciągłości zamiar druku wszystkich części: dedykacji, przedmowy i listów. Biedny tłumacz westchnął z ulgą po tych oświadczeniach i z szacunkiem składał rękopisy. Uważał poemat Korwina za arcydzieło, którego tematyczna niezbieżność była tylko pozorna, bo przecież erotyczny utwór harmonizował z częścią listów Teofilakta.

— Ale, ale, muszę ci wreszcie powiedzieć, co mnie do ciebie sprowadziło! — zawołał gość niespodziewanie.

— Ogromnie tego jestem ciekaw.

— Wiesz zapewne, kochany bracie, że po zacnym kanoniku i profesorze Tomaszu Wernerze odziedziczyłem wszystkie jego książki. Nie widziałeś tego zbioru, bo we Fromborku zbyt rzadko bywasz. Proszę cię więc, byś przy okazji pobytu na Wzgórzu Naszej Pani zaszedł do mnie, to pozwolę ci wybrać, co tylko zechcesz. A jeżeli sobie życzysz, to mogę ci to i owo przysłać. Mam na przykład „Commentariorum” Jana Tortelliusa.

— Słyszałem o tej książce — powiedział Mikołaj.

— Są w niej różne interesujące cię sprawy. Znajdziesz o zegarach, busolach, mapach żeglarskich, okularach, instrumentach muzycznych i rozmaitych innych rzeczach.

— Toż wiem, znam tę księgę z relacji, tylko jej w ręce jeszcze nie miałem. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś mi ją przysłał z Fromborka przy najbliższej okazji. A gdy tylko moje drogi poprowadzą do siedziby naszej kapituły, to skorzystam z zachęty przejrzenia twego całego księgozbioru i może jeszcze coś sobie wybiorę, jeżeli tylko zechcesz mi użyczyć.

— Z całego serca!

— Tylko...

Słowo to zawisło między nimi. Mikołaj urwał myśl, nie wypadało wywnętrzać się przed kimś, kto był właściwie obcy, choć okazywał serdeczność. Bał się tych kanoników, z których więk-

szość po niemiecku mówiła, a niektórzy prawdopodobnie spiskowali z Krzyżakami przeciw własnemu biskupowi. Gizjusz był wprawdzie inny, należał do bogatej rodziny patrycjuszów gdańskich, wywodzących się gdzieś z Brabantu czy z Cleven, lecz wiernych królowi polskiemu.

— Tylko co? — szepnął gość niespokojnie. — Wyglądasz dziś w ogóle jak człowiek przygnębiony i trudno cię czymkolwiek uradować. Mówisz chyba o swych podróżach z jakąś niechęcią.

Mikołaj spojrział na niego z zaciekawieniem. Ten człowiek lepiej chyba odczytał tajniki jego duszy, niż on sam. Zapewne, te podróże i ta służba publiczna — choć wiązały się z wielkimi i ważnymi sprawami — odrywały go od astronomii. Powiedział:

— Widzisz, obserwacje nieba trzeba prowadzić wtedy, gdy na tym niebie dzieje się albo coś niecodziennego, albo coś, co może dać klucz do rozwiązania zagadki. A w podróż trzeba ruszać wtedy, gdy przewielebny pan rozkazuje, licząc się nie z sytuacją na niebie, lecz na ziemi. Służba państwowa odrywa mnie od systematycznej pracy naukowej. Urządziłem sobie dostrzegalnię na wieży tego zamku, lecz zbyt rzadko z niej korzystać mogę.

Gizjusz spochmurniał. W jego smutnym spojrzeniu nietrudno jednak było odczytać życzliwość dla astronoma.

— Czyżby nie można było nijak astronomii ze służbą pogodzić?

— Może by i można, nie o to idzie. Lecz wszystko mnie tu wiedzie ku służbie dla ojczyzny, którą i tak chętnie pełnię, a nic nie zachęca do pokonywania przeszkód, jakie w studiach astronomicznych napotykam. Nikogo tu gwiazdy i planety nie obchodzą, nie ma do kogo ust otworzyć na ich temat. To nie to, co w Bolonii, Padwie, Krakowie...

— Tu cię mam! — zawołał nagle Gizjusz, rozpromieniony. — Tu cię mam! A mojej ciekawości gwiazd nie raczysz zaspokoić. Niedobry jesteś, Mikołaju — mówił dalej z wyrzutem. — Ja bym z tobą o ciałach niebieskich godzinami rozprawiał, twoje sławne

teorie ogromnie mnie interesują, choć z moim wykształceniem astronomicznym nie jest tego. Ktokolwiek wspomina twoje imię, mówi o tobie jako o wielkim, uczonym astronomie. Ja bym bardzo chciał poznać bliżej twoje teorie. Ale jak, jeżeli mówić nie chcesz, a i książki żadnej na ten temat też nie ogłosisz, tylko jakieś poezje greckie tłumaczysz.

— Nie podobają się? — zachnął się Mikołaj.

— Podobają się, lecz nie to jest w tobie największe. Powinnieś ogłosić światu swoje hipotezy.

Kopernik zmrużył oczy, wpatrywał się w twarz tamtego z namysłem, jak gdyby coś w sobie ważył. Powiedział wreszcie nieśmiało:

— A gdybym już coś miał napisane?

— Nie do wiary! — krzyknął Gizjusz.

Mikołaj wygrzebał spomiędzy ksiąg rękopis, który powstał w ostatnich tygodniach pod wpływem korespondencji z Bernardem Wapowskim, Marcinem Biemem i innymi dawnymi przyjaciółmi, nie wyłączając Macieja Szylinga i nawet Wawrzyńca Korwina.

— Próbowałem sprecyzować pierwsze, wstępne wnioski. Tyle tylko, na ile pozwalają niezbite dowody. Ot, obserwacje i matematyka — to są podstawy wszystkiego. Zestawiłem w tym nie wyglądającym jeszcze dziełku siedem aksjomatów, które pozwalają mi wszelką pozorną nierówność ruchu objaśnić przy użyciu samych już tylko jednostajnych ruchów, czego wymaga zasada ruchu doskonałego.

— Pragnąłbym poznać te aksjomaty — niecierpliwiał się gość.

Mikołaj wykladał mu je długo, odczytując niekiedy fragmenty swej pracy. Dowodził, że nie istnieje wspólny środek dla wszystkich kręgów czyli sfer niebieskich, że środek Ziemi nie jest środkiem świata, ale jedynie środkiem ciężkości oraz środkiem drogi Księżyca. Przytaczał argumenty na to, że wszystkie ruchy planet dają się wytłumaczyć obiegami wokół Słońca, że planety

są ogromnymi światami, znikomymi jednakże w porównaniu z otchłaniami nieba, w którym przebywają gwiazdy stałe.

To wszystko było dla Gizjusza przerażająco nowe i przerażająco wspaniałe. Oczy mu płonęły, gdy słuchał w skupieniu, niekiedy tylko wtrącając pytanie czy słowo podziwu. Oto Ziemia została wyważona ze środka kosmosu i rzucona między planety, obalając w ten sposób całe dotychczasowe myślenie ludzkie, podważając podstawy światopoglądu teologicznego.

— Obaliłeś podział na niebo i ziemię, uczyniłeś Ziemię częścią nieba — szeptał przerażony kanonik. — Gdzie my teraz podziejemy Boga?

Mikołaj rozkładał ręce:

— To już nie moja sprawa. Niech się tym zajmą teolodzy. Niech każdy szewc pilnuje swego kopyta.

— Masz zapewne rację. Lecz włosy dęba stają, choć twojej racji na pewno nie da się podważyć. Ja w nią nie wątpię, chociaż nie matematyk. Musisz opublikować to dziełko, którego urywki mi czytałeś. Pozwól jeno, masz nawet jakiś tytuł na pierwszej kartce napisany?

Gizjusz ujął z szacunkiem rękopis. Odczytał pierwsze słowa i zapytał z zaciekawieniem: — Czy wydasz ten Commentariolus drukiem?

— Chyba jeszcze nie — odparł Kopernik. — Zobaczę po powrocie z Krakowa, po rozmowach z tamtejszymi uczonymi.

Gizjusz wstając z krzesła powiedział:

— Oby krakowscy twoi przyjaciele szczerzy byli dla świata i dobrymi cię natchnęli zamiarami. Ja ci w każdym razie spokoju nie dam, póki życia. A i do dalszych badań będę cię stale namawiał, gdy tylko się spotkamy, czy to tutaj w Lidzbarku, czy we Fromborku, czy jeszcze gdzie indziej.

---

## Czas radości

Kraków tonął w śniegu. Był początek lutego, chodzenie po ulicach nie należało do przyjemności, więc Kopernik wyskakiwał z domu Macieja Szylinga tylko na spotkania z przyjaciółmi, na rozmowy o Commentariolusie, który zabrał z sobą w podróż, ulegając namowom Gizjusza już po raz drugi. Prosto z księgarni, winiarni czy czyjś prywatnego mieszkania — najczęściej z komnat Dantyszka na Wawelu — wracał w domowe pielesze, by oddać się serdecznej rozmowie z Maciejem i Anną, a pod nieobecność ojca — jeszcze serdeczniejszej z samą tylko córką.

Spalający się w uczuciach astronom zupełnie zapomniał o celu przybycia do stolicy: o ślubie króla Zygmunta I i o późniejszym sejmie generalnym poświęconym głównie sprawom pruskim. Wuj jakoś obywatelował się w Krakowie bez niego, wyręczając się drugim lidzbarskim kanonikiem Jerzym Delauem.

Anna jesienią miała ukończyć dwudziesty pierwszy rok życia. Była tak bardzo podobna do nieboszczki matki. Ta sama kibić, ta sama głowa o szlachetnym profilu, te same włosy.

Uczucie do Anny przeczuł już wtedy, w 1509 roku, od tego czasu ogarniała go wyraźna tęsknota za dziewczyną. Ale wówczas jeszcze nie doszło do wyznań miłosnych. Dopiero teraz, po trzech latach.

Stało się to drugiego dnia rano, po wyjściu Macieja do mienicy. Szyling wstał od śniadania, pozostawiając ich oboje rozmawiających przy stole. Siedzieli nadal, rozmowa po jego odejściu toczyła się dalej. W pewnej chwili Anna, wpatrując się weń uporczywie, powiedziała:

— Ty kochałeś moją matkę?

Mikołaj zadrżał. Spojrzał na nią czule, dostrzegł niecierpliwy niepokój na jej twarzy. Odpowiedział od razu, bez namysłu:

— Kochałem ją najczystsza na świecie miłością. I nie przestałem jej kochać.

Drgnęła, na jej czole pojawiła się jakby chmurka. Dodał więc, nie zdając sobie sprawy z tego, co może tymi słowy wywołać:

— Kocham ją teraz przez ciebie, Anno.

To co się teraz stało, stało się niespodziewanie i gwałtownie. Dziewczyna — siedząca obok niego, po tej samej stronie stołu — przechyliła się ku niemu i opadła na jego ramię. Wpiła się palcami w jego dłoń i mówiła dysząc:

— Mikołaju, jeżeli ona była taka sama jak ja, to musiała darzyć cię wielką miłością wzajemną. Ja ciebie kocham bez granic.

Wtedy objął ją i pociągnął ku sobie na ławie. Zwarli się uściskiem. Przez długi czas nie mówili do siebie nic.

W ciągu następnych dni nie szczędzili sobie najgorętszych wyznań miłosnych. Mikołaj sycił teraz wszystkie tęsknoty — nie tylko te za Anną, ale i inne, jakie go w ciągu życia trapiły: za ojcem i matką, za Stachem i innymi przyjaciółmi, za Toruniem, Krakowem, Bolonią i Padwą, za gwiazdami i wszechświatem, za pełnią wiedzy o Ziemi i innych planetach. Marzyła mu się przy Annie mapa nieba, podobna do mapy Ameryki, która powstała po odkryciach dokonanych przez Krzysztofa Kolumba, Amerigo Vespuciego i innych śmiałków.

Maciej nie mówił nic, choć widać było, że domyśla się wszystkiego. Można było jednak wnioskować, że życzliwie przychyła się do tej miłości. Może przed laty domyślał się także miłości Mikołaja do Marty?

Aż mniej więcej po tygodniu przyniósł do domu brązowy medal, który wręczył Kopernikowi późnym wieczorem, gdy Anna poszła już spać, mówiąc:

— Mikołaju, przyjacielu drogi. Wiem, że nie weźmiesz ślubu z moją jedyną córką, nie cofniesz się z obranej drogi i pozostaniesz kanonikiem. Dla nas, humanistów, miłość jest największym skarbem człowieka, jest święta sama w sobie. Najpiękniejsze jednak ze wszystkich jest uczucie artysty i najpiękniej w oczach artysty się przedstawia. Pozwól, że ofiaruję ci medal wybity na cześć miłości.

Kopernik słuchał tego z ogromnym wzruszeniem. Wziął do ręki medal jak świętość. Artysta wyrzeźbił na nim wizerunek obojga młodych, opleciony dookoła gałązkami bluszczu. Na odwrotnej stronie medalu wyryty był krakowski Barbakan.

— To symbol niezwykłości wszystkiego, co w miłości najszlachetniejsze — wyjaśnił Szyling, idąc za wzrokiem przyjaciela. — A trójlistna gałązka bluszczu — dodał — jest, jak wiesz, godłem Szylingów. Nie bierz mi za złe tego, że nie twój, lecz Anny gmerk wyrzeźbiłem. Medal jest przecie dla ciebie, niech przypomina ci Kraków i nas dwoje.

Wzruszenie nie pozwoliło Mikołajowi przez kilka następnych chwil wydobyć z siebie głosu. Dopiero później dziękował Szylingowi za przyjazną życzliwość. Nie omieszkął także zapytać:

— Moje oblicze z pamięci odtworzyłeś, a Anna może pozowała ci i wie wszystko o medalu?

— Nie wie niczego i broń Boże, nie pokazuj go jej, ani nawet nie wspominaj. Zaś konterfekty wasze z pamięci rzeźbiłem. Są wyryte w mych myślach po wieczne czasy.

Żył więc Mikołaj nie tylko w ogniu miłości, lecz także w błogiej atmosferze przyjaźni. Niósł swoje szczęście z sobą do miasta, gdy opuszczał dom — przystań przy ulicy Grodzkiej.

Uczucie szczęścia rosło jeszcze w kontaktach z tym wspaniałym młodym człowiekiem, jakim był królewski dworzanin i poeta, Jan Dantyszek. Zwali go ludzie różnie. Niektórzy — pamiętni jego niemieckiego pochodzenia i dziada powroźnika — wołali go Flachs binder czyli Wiążący Len. Przyjaciele ze studiów

w Italii używali łacińskiego tłumaczenia tego nazwiska — Lino-desmos. Jan nie zapominał bynajmniej o swym pochodzeniu i zwał siebie mężem z Gdańska — czyli Dantiscusem. Znaleźli się w Krakowie tacy, którzy ten przydomek spolszczyli, nazywając ulubieńca królów Dantyszkiem.

Był ulubieńcem nie tylko królów. Mikołaj z podziwem patrzył, jak ten wytworny człowiek rozsiewał dookoła ziarna humanistycznej mądrości i poezji. Ulegali jego urokowi wszyscy — od sług do książąt i mędrców. Słuchano w skupieniu, gdy recytował miłosne wiersze, słuchano z nabożeństwem, gdy opowiadał swe przygody. Za ledwie skończył lat piętnaście, gdy znalazł się na dworze królewskim. Nie mając jeszcze siedemnastu, został żołnierzem i walczył przeciw Turkom. Osiągnąwszy osiemnaście, wrócił jako weteran do Krakowa. Wkrótce potem ukończywszy studia polskie i italskie wstąpił na służbę u króla Aleksandra. Odbił podróże do Danii, Francji, Niemiec; zwiedził Korf, Rodos, Cypr, Palestynę i Arabię. Wszędzie oczarowywał władców i zdobywał łaski kobiet. Był wyznawcą Bacchusa i Wenerę, w swych wierszach opiewał wino i miłość.

Na spotkaniach Mikołaj chwycił strzępki strof jego wierszy, by nieść Annie, której przeczytał już dziesięciokrotnie wszystkie erotyczne listy Teofilakta.

Dantyszek wysoko ocenił przekład Kopernika, a dowiedziawszy się o jego astronomicznym rękopisie, wyłudził go od Mikołaja i przeczytawszy, powiedział dnia następnego:

— Przede wszystkim jednak ten Commentariolus musisz wydać drukiem, drogi bracie.

— Nie, mój drogi. Posłuchałem przed trzema laty przyjaciół, którzy zachęcili mnie do wydania przekładu greckich listów. Ale pozwól, że w tym przypadku cię nie usłucham. To jest tylko szkic do teorii. Nad samą teorią dopiero zaczynam pracować, a idzie mi to niesporo, bo dużo czasu zabiera mi służba u biskupa Warmii. To prawda, czytam księgi i czynię obserwacje. Dowia-



duję się teraz w Krakowie, że w nocy z szóstego na siódmego października ubiegłej jesieni równocześnie z tutejszymi uczonymi obserwowałem zaćmienie Księżyca. W Nowy Rok przed wschodem słońca poddawałem próbie swoją teorię ruchu Marsa. Ale to wszystko mało, bardzo mało. Zbieram dopiero, jak wdowa uboga, grosz do grosza i daleko mi jeszcze do wartej pokazywania majątności.

Jan Dantyszek śmiał się głośno z tego porównania, a potem kazał sobie opowiadać i to, czego Mikołaj drukarzom dać nie chciał, i to, czego jeszcze napisać nie zdążył. Spędzali na takich rozmowach długie godziny, a ponieważ Mikołaj potem już tylko do Anny się śpieszył, więc innych krakowskich przyjaciół mocno zaniedbywał. Pocieszał się, że nie ostatni raz bawi w stolicy.

Od kilku lat, gdy tylko Zygmunt I dobrał sobie w ostateczny sposób grono doradców, Dantyszek był w jego kancelarii referentem do spraw pruskich. Od tego czasu kilkakrotnie spotykał go Mikołaj podczas urzędowych podróży, lecz mijali się wtedy jeszcze jak ludzie sobie obcy. Teraz, już jako serdeczni przyjaciele, rozmawiali również o stosunkach warmińsko-krzyżackich.

Były one po staremu napięte. Dantyszek nie wiedział dokładnie wszystkiego, zajęty raczej poezją, ucztami, miłostkami. Na jedno ze spotkań w winiarni przyniósł rękopisy „Epitalamium na cześć Zygmunta i Barbary” oraz „Prośbę do sławnego Zygmunta Króla Polski”. Utwory te drukowano u Hallera.

Epitalamium było bardzo długie, nawiązywało do życia i przygód bogów i bohaterów greckich. Taka panowała moda, takie obowiązywały kanony estetyczne, lecz Mikołaja te mityczne wtępy mniej zachwycaly i ożywiał się prawdziwie dopiero wtedy, gdy poeta mówił wręcz o parze królewskiej i o jej weselu, ot, choćby tak, jak w zakończeniu:

Dziś więc ci, co o państwa polskiego los dbają,  
Biskupi (stąd iż zwierzchnie dostojęństwa mają),

Wielkoduszni rycerze, potężni książęta,  
Piękni młodzieńcy, tudzież prześliczne dziewczęta,  
Matki, chłopcy i starcy, a społem i niania  
Dla króla i królowej niech wznoszą błagania  
O szczęście, czerstwą starość przez lat długich wiele.

Atoli czas już nadszedł: bądźcie wždy weseli  
I radzi sobie wszyscy, na których spoziera  
Boot, co na powolnej osi się opiera.  
Uciechy, słodkie żarty, lekki płas dokoła  
Niech napełniają miasta, miasteczka i sioła!  
Niech ciężkie troski z serca znikną precz i miną,  
Niech wszelkie zło, ból, smutek dziś w przepaści  
zginą!  
Lud rad tych nowych uciech żąda z wszelkiej mocy:  
Dziś szczęśna pieśń weselna brzmi w kraju Północy.\*

Podczas czytania tych i innych wierszy, gdy towarzystwo było już dobrze podochocone i zapomniało o całym świecie, do winiarni wpadł jak po ogień warmiński kanonik Jerzy Delau i zawołał od progu:

— Bój się Boga, Mikołaju, wreszcie cię znalazłem!

Delau ledwie wybronił się od poczęstunku, ale równie trudno było mu wydobyć z winiarni Mikołaja, którego przyjaciele nie chcieli wypuścić. Powtarzał w kółko: — Nasz ojciec biskup czeka na ciebie. Masz przyjść z komentarzem astronomicznym, jakiś dygnitarz chce go kazać przepisać.

Gdy Mikołaj wy dostał się na ulicę, z rzewnością myślał o wuju: — Nasz ojciec biskup jest aniołem — powtarzał do ucha konfratra, wzruszony pamięcią i dobrymi chęciami Waczenrodego.

Delau patrzył nań ze zdziwieniem, lecz przyznawał mu rację.

Gdy wchodzili do pałacu biskupiego, w którym oczekiwał go wuj, Mikołaj powiedział: — Zawdzięczam mu wszystko.

---

## Czas żałoby

Niósł teraz w sobie obraz wuja, jadąc pośpiesznie ze swym sługą, Wojciechem Cebulskim, do Torunia.

Biskup Warmii Łukasz Waczenrode umierał.

Jechali wierzchem, zmieniając konie w klasztorach, na probostwach, u kasztelanów. Mikołaj zaopatrzył się w glejt z kancelarii biskupiej, umożliwiający mu szybszą podróż. Sługa na swym koniu wioził pakunki. Trzeba było bowiem wyposażyć się w lekarstwa, a nawet w księgi medyczne. Młody lekarz znał co prawda niedomagania starzejącego się biskupa, ale teraz musiało wydarzyć się coś niezwyčajnego, nagłego. Posłaniec z Torunia przywiózł tylko krótką prośbę o przyjazd, pisaną w imieniu wuja i krótką wzmiankę ustną o śmiertelnej chorobie.

Były ostatnie dni marca, ziemia tajała, drogi zamieniały się w rozmokłą maź. Konie szły opieszale, pryskając dookoła błotem, ledwie wydobywając z mazi kopyta. Ludzie w mijanych wioskach dziwili się, skąd i dokąd to los gna podróżnych w taki czas.

Mikołaj przez całą podróż niósł w swym sercu portret wuja. Niechętnie odpowiadał na pytania sługi, poskramiał jego gadałliwość.

Rozmyślał, co będzie teraz z Warmią, jeżeli odejdzie biskup. Odetchną Krzyżacy na wieść o śmierci „diabła wcielonego”. Ucieszą się ci wszyscy, co Waczenrodemu zazdroszą łask królewskich, którzy zawistnie patrzyli na darowane mu Tolkmicko i Szkarpawę, na posiadłości sztumskie i tczewskie. Gdańszczanie spróbują niewątpliwie zagrabić sobie sporne terytoria. Z ulgą

przyjmą śmierć biskupa nawet niektórzy kanonicy fromborscy, przede wszystkim zaś ci, którzy chętnie zasiedliby na opróżnionym przez niego tronie.

Rządy Łukasza Waczenrodego budziły i na Warmii, i w innych częściach Prus, i nawet w całej Polsce bardzo różne i sprzeczne ze sobą opinie. Jedni — do nich należał Mikołaj — uważali pana Warmii za człowieka wiernego Koronie i wrogiemu Zakonowi. To on przecież tworzył w swym umyśle liczne koncepcje polityczne, których realizacja mogła przynieść wielkie korzyści Rzeczypospolitej: choćby koncepcję przeniesienia Krzyżaków na Podole lub Mołdawię, czy inną — utworzenia arcybiskupstwa warmińskiego. Ale niektórzy oskarżali go o dwulicowość i udowadniali, że ten popierany przez królów senator znajdował się w tajnym porozumieniu z wielkim mistrzem i wspólnie z nim układał plany odebrania Polsce ziem przyznanych jej pokojem w Toruniu. Mikołaj przypuszczał, że to któryś z kanoników spiskuje z Krzyżakami i dla niepoznaki rzuca podejrzenia na swego władcę. Co prawda w swej długoletniej pracy politycznej biskup warmiński rozmaicie w różnych okresach rozkładał akcenty, w zależności od siły czy słabości Krakowa, ale nawet w najżywcziwszych dla Krzyżaków gestach nie można było dopatrywać się spisku czy knozań przeciw królowi, umowy zawierane z Krzyżakami były zawsze zręcznie skierowane przeciw ich władzy na ziemi pruskiej. Przecież jeszcze nie tak dawno, bo przed niespełną czterema laty, w związku z planem utworzenia arcybiskupstwa na Warmii, Krzyżacy opracowali akt oskarżenia, który dotarł również do rąk Kopernika. Obwiniali biskupa Warmii o ciągłe szczucie króla polskiego przeciw wielkiemu mistrzowi, o występowanie na zjazdach pruskich z niecnymi, podstępnyimi zamysłami. Wraz z oskarżeniami szły napady łupieskich band krzyżackich na Warmię. I jedno i drugie stanowiło świadectwo czystości politycznej Waczenrodego. Przecież i teraz, na początku lutego, biskup wysłał siostrzeńca na Warmię po to, by zde-

mentował co prędzej rozsiewaną w Gdańsku, Elblągu i Braniewie plotkę, jakoby Zygmunt I przyjął propozycję Krzyżaków płacenia mu pięćdziesięciu tysięcy dukatów rocznie czynszu dzierżawnego za lenne ziemie zakonne, co miało zakończyć raz na zawsze okres zależności Prus Zakonnych od Polski. Przecież jadąc w styczniu do Krakowa cała ekipa lidzbarska wstąpiła do Sztumu, gdzie biskup udzielił audiencji delegatom rady gdańskiej, którzy prosili go o wstawiennictwo u króla...

W Toruniu przeżył Mikołaj chwile ulgi dowiedziawszy się od znajomków, że wuj Łukasz żyje.

Leżał w ciężkim, rzeźbionym łożu z czarnego dębu. Twarz jego jakby się wydłużyła, rysy zaostrzyły się. Było w nich jeszcze więcej wyniosłości niż zawsze.

Mikołaj przyklęknął przy łożu i dotknął ręki wuja. Była gorąca. Tuż przy palcach czerniły się plamy. Puls bił gwałtownie i nieregularnie.

Porozumiawszy się wzrokiem z czuwającymi przy łożu dwoma lekarzami, Mikołaj wyszedł do sieni. Tam wysłuchał przede wszystkim relacji roztrzęsionego sekretarza biskupiego Pawła Deusterwalda:

— Prawdę mówiąc, to już w Krakowie nasz ojciec nie czuł się najświetniej, chociaż waszmość tego może nie zauważyłeś. Mówię o tym, żeby niczego nie zataić w sytuacji, gdy podnoszą się głosy na temat trucizny. Jego ekscelencja tak bardzo lubi ryby, a już w Krakowie dąsał się na sam ich widok. W drodze też różne jedzenie go nudziło, lecz pomimo nudności kontynuował podróż i prowadził rozmowy urzędowe. Owszem, nie wykluczam trucizny, może te wcześniejsze objawy wystąpiły przypadkowo i nie mają nic wspólnego z obecną ciężką chorobą, ale lekarz musi z pewnością wiedzieć wszystko.

— Mów waszmość nareszcie, jak zaczęła się i postępowała choroba — zażądał Mikołaj nerwowo.

Deusterwald spojrział nań niezyczliwie.

— Toć mówię. Nasz ojciec z dnia na dzień słabł, aż w Łęczycy zmogło go na dobre. Nie mógł już ani kroku postąpić, a nawet na nogach stanąć. Jedzenie przez gardło mu nie przechodziło, a jak coś przez siłę przełknął, to i zwracał natychmiast. Jeno pragnienie go ciągle paliło nieugaszone i gorączka bezustanna męczyła. Ale kazał wieźć się dalej i tak po trzech dniach, w piątek dwudziestego szóstego marca dobrnęliśmy z nim do Torunia. Tu już wyglądał jak umarły, więc lekarzy zwoławszy wysłaliśmy umyślnego po drogiego nam konfratra. Lekarze niczego zmienić nie potrafią, jeden z nich gada o truciźnie jakowejś; niektórzy chętnie to podchwycili, bo pan nasz wrogów miał co niemiara. W sobotę dech z piersi ledwie dobywał i całkiem mówić przestał. W niedzielę kapelan niby to go wyspowiadał. Chory usiłował jeszcze przemówić, lecz tylko bełkot z niego wychodził. Dzisiaj rano jego ekscelencja biskup chełmiński Jan Kono-packi ostatniego namaszczenia mu udzielił. Co dalej?

Dalej nie było już wiele do roboty. Mikołaj porozmawiał z medykami, przejrzał swoje księgi lekarskie i namyślał się troskliwie, z frasunkiem.

Nic nie pomogły pośpieszne zabiegi. Życie Waczenrodego gasło z godziny na godzinę, twarz jego jakby powlekała się woskiem, oczy przestały otwierać się. Może to rzeczywiście trucizna zabrała warmińskiego władcę? Mikołaj tego nie wykluczał. Może italskie metody likwidowania władców i sięgania po trony doszły już i do Polski?

Śmierć wuja, przewiezienie zwłok do Lidzbarka, a stamtąd do Fromborka — tysiąc czynności, tysiące słów, koszmarne dni i noce — to wszystko stało się w duszy Mikołaja jednym uciążliwym jarzmem, pod którym niczego pojąć nie mógł. Chodził zupełnie zaczadzony, nie bardzo zdawał sobie sprawę, co działo się dookoła.

Za trumną Łukasza Waczenrodego Mikołaj szedł przytomniejszy już, świadom straty, świadom żałoby i w myślach przekony-

wał samego siebie o marnościach tego świata, lecz bez skutku. Tak niedawno jeszcze, przed dwoma miesiącami, żył pełnią ludzkiego szczęścia.

Wśród gości żałobnych na pogrzebie zobaczył tegoż mężczynę, idącego pod rękę z równie tęgą niewiastą. Poznał Filipa Tesznera, z którym jedyny raz w życiu rozmawiał. Niewiasta była zapewne żoną Filipa. Ten widok wzruszył Mikołaja. Oto za trumną Łukasza Waczenrodego szedł przecież także jego potomek w prostej linii.

Dawne to były czasy, Mikołaj rodził się dopiero, gdy młody doktor Waczenrode zatrudnił się jako nauczyciel w szkole świętojańskiej w Toruniu — tej samej, do której później uczęszczali obaj bracia Kopernikowie. Rektorem szkoły był w owym czasie Jan Teszner. W jego pięknej córce zakochał się młody Łukasz, a miłości tej owocem był syn.

Pan Warmii nigdy nie zapomniał o swym potomku, opiekował się nim, kształcił. Zostawszy biskupem sprowadził syna do Braniewa. Tam, dzięki szerokim wpływom ojca, Filip ożenił się z córką bogatego mieszczanina, a potem został w Braniewie burmistrzem. Tę funkcję pełnił jeszcze i teraz.

Nie zawahał się przybyć na pogrzeb, choć zawsze okazywał ponoć żal, że ojciec nie zgotował mu znaczniejszej kariery.

Szedł więc za trumną człowiek, w którego żyłach płynęła krew zmarłego biskupa, ktoś, kto jeszcze bardziej niż Mikołaj zobowiązany był pamięci Waczenrodego dochować wierności. Bo poza synem i siostrzeńcem któż tej wierności dochowa? Nowy biskup dobierze sobie z pewnością nowych ludzi do współpracy, nowe nastaną porządki. A Mikołajowi przyjdzie przeprowadzić się do Fromborka. Po powrocie z Italii siedział stale w Lidzbarku, ostatnimi czasy kursował często między Lidzbarkiem a Fromborkiem, teraz będzie mógł na stałe osiedlić się w siedzibie kapituły — tym najodleglejszym zakątku świata.